Siedem dziewcząt z Pitcairn

Maciej Wasielewski

Milczała albo krzyczała. Nie ufała mowie. Powtarzała tyle razy: „Zostaw!". Więc zaczęła milczeć, kiedy brali, kiedy i krzyk jej nie ochronił.

Noc nie była sprzyjającą porą na gwałt. Nocą kradnie się ropę, truje drzewa sąsiadów, kiedy nie można już na nich patrzeć.
Gwałt był częścią dnia. Jak jedzenie. Byłeś głodny, zrywałeś mandarynkę. Naturalna czynność.
– Najgroźniejsze okazywały się przestoje w pracy. Mogły trwać dzień albo miesiąc. Zajęć brakowało, trzeba było czymś zabić czas. Najgorsze krzywdy zadawali z nudy – mówi Veronika jakby mimochodem; jednocześnie zmywa lakier z paznokci. – Najbardziej to się bałam za dnia. Jak szłam nazbierać cytryn, to zawsze patrzyłam, czy za mną nie idą. I tak mi zostało. Lęki dopadają mnie w dzień. Wieczorem już rzadziej. Dlatego ze wszystkich pór dnia najbardziej lubię wieczory.

Tamtego dnia poszła na łąkę. Zrywała kwiaty, układała bukiety. Dwa zdążyła. Trzeciego nie. Podjechał na motorze. Trzeci upuściła.
Zapamiętała chybotanie. Bo człowiek, który się broni, sztywnieje, napina się. Człowiek naprawdę bezradny rozluźnia mięśnie.
– On ciągle, że kocha i kocha. Głaskał, a potem do omdlenia. Modliłam się, żeby się odkochał. Jego kuzyn był nieśmiały, nawet się nie bałam. Żal mi go było. Miał pryszcze i taki ciężki oddech. Jak karykatura oddechu. Ale nie śmiałam się, na wszelki wypadek. Był jeszcze ich wuj. Twarz porowata, zarosła, śmierdział cebulą. Żył w przeświadczeniu, że jego sperma to manna. Zły człowiek.
– Zły?
– Myłam się po nim do krwi, zdrapywałam strupy. Inne też zdrapywały.

Pierwsza.
Oganiała się od pszczół. Podjechał na motorze. Chodź, tam na wzgórzu są mandarynki. Wsiadła. Zatrzymali się przed drewnianą chatą. Ufność ją opuściła. Miał żywe, penetrujące spojrzenie. Tylko nie mów nikomu. Bo powtórzę.
Potem stała, nie pamięta jak długo. Dłonie zdrętwiałe, ciało obrzękłe.
Napisał jej liścik miłosny. Zgiął wpół. Zachrobotał klamką. Zostawił obok poduszki.
Udawała, że śpi. Było to u niej w sypialni. Było to w noc po przejażdżce. Miał dwadzieścia siedem lat. Ona – trzynaście.
Odtąd noce mijały jej w półśnie.

Druga.
Kroiła pomarańcze w soczyste talary – przychodził. Spała – przychodził. Siedziała w domu, z ojcem i matką – też przyszedł.
Ojciec poradził matce: „Zatkaj uszy watą".
Następnego dnia ojciec poszedł na ryby z napastnikiem. Minął rok i ojciec zaczepił jego córkę, swoją bratanicę.

Trzecia.

Milczała albo krzyczała. Nie ufała mowie. Powtarzała tyle razy: „Zostaw!”. Więc zaczęła milczeć, kiedy brali, kiedy i krzyk jej nie ochronił.
Raz zdradził ją szelest w polu kukurydzy. Innym razem wiatr zawiał prześcieradłem, które schło w ogrodzie.
Złowiona, powiedział.

Czwarta.
Mówili o niej: gościnna, bezwolna, ale jej wola gasła stopniowo. Oni ją gasili. Od małego czerwieniła się do mężczyzn, ale kiedy ją rozbierali, to bladła. Jak jabłko.
Raz dopadli ją sto kroków od domu. Tarmosili po piasku. Ziemia była mokra po deszczu. Potem brali, jeden za drugim, wśród przekleństw.
Zapamiętała ich buty. Słone od bryzy. Umazane smarem. Cuchnęły.

Piąta.
Bała się dziadka. Dziadek lubił zjeść i zapić. Potem wracał do domu jak krab. Mówili: „Jadł mięso, zapładniał mięso”. Ona jeszcze nie wiedziała. Miała dwanaście lat, kiedy pierwszy raz jej dotknął. Potem już nie znał opamiętania.
O czym mogła myśleć? Dlaczego dziadek? Czy zostawi za pięć minut? Czy można poronić raz, czy więcej? A on?
Pomyślała: „Może dałby się bawić, gdyby nie ta zadarta spódnica”.

Szósta.
Nogi omdlałe, brzuch napięty. Postanowiła zamknąć oczy. Będzie delikatny albo nie.
Znalazła się w parterze. Brzuchem do ziemi. Spoglądała w jeden punkt. Między palmami błyszczał Pacyfik.

Siódma.
Siedziała pod drzewem, w sadzie. Jadła mandarynkę, nagle przestała wypluwać pestki. On znajdował przyjemność w biciu: „Teraz to ci zrobię gwałt”.
Leżeli po wszystkim na ciepłej ziemi, a drzewa układały się w kotarę. Ktoś pomyśli: miłosna schadzka, szczęśliwa chwila; śmiała się z bezradności.

Znowu pierwsza.
Widziała kątem oka, jak ten drugi gapił się na nią, na nich w tym piachu. Podniósł rękę, otworzył gębę, mina tępa, milczał, myślał, czy przeszkodzić. Powiedział: „Braciszku, odpocznij. Znów mogę”.

Następne.
Roześmiane, spocone, miały ochotę na mango. Poszły nie tą ścieżką. Siostra uciekła. Ją wzięli w dwa ognie. Minuty jak ciężkie kamienie, wiatr piachem wstrząsał. Zapamiętała słowa radiooperatora dobiegające z oddali: „Czołem, przyjaciele. Mamy dziś piękny dzień”.

(fragment książki „Jutro przypłynie królowa” Macieja Wasielewskiego, wyd. Czarne)